

Ludwik Wiśniewski OP

Nigdy nie układaj się ze złem

Pięćdziesiąt lat zmagania o Kościół i Polskę

Ludwik Wiśniewski OP

**Nigdy
nie układaj się
ze złem**

Pięćdziesiąt lat
zmagania o Kościół
i Polskę

Wydawnictwo WAM

Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania
z siedzibą w Rzeszowie

Kraków–Rzeszów

Wprowadzenie – o. Ludwik Wiśniewski 7

I Nie wyrzec się braci uciskanych

- 1978 r. Chrześcijanie wobec walki
o sprawiedliwość 13
- 2007 r. Rozmowa z Teresą Torzańską 32
- 1976 r. List otwarty do Edwarda Gierka 49

II Solidarność, a nie walka

- 1996 r. Do widzenia, Sankt Petersburg! 63
- 2000 r. Głos w debacie „Patriotyzm
wczoraj i dziś” 71
- 2001 r. List otwarty do Adama Michnika
w sprawie stanu wojennego 80
- 2006 r. Akademia „Złota 9”.
Skąd ta inicjatywa? 88
- 2008 r. Ideały Sierpnia 93
- 2009 r. Homilia na trzydziestą rocznicę
Ruchu Młodej Polski 98
- 2009 r. Ale nam się wydarzyło 103

III Wchodzenie w Boga

- 1960 r. Refleksje kleryka 111
1968 r. List do prowincjała, ojca Krzysztofa Kasznicy 115
1984 r. Rozmowa z Jackiem Żakowskim 122

IV Tu na ziemi nie ma nieba

- 2015 r. Sumienie prezydenta 133
2015 r. Sakramenty dla niesakramentalnych
małżonków 137
2016 r. Kąkol i pszenica 145
2011 r. Rozmowa z Anną Sosnowską 149

V Uczciwy katolik powinien być antyklerykałem

- 2005 r. W trosce o Kościół 165
2008 r. Rozmowa z Pawłem Smoleńskim 167
2010 r. List do Nuncjusza 175
2011 r. Kłopoty z Kościołem 186
2011 r. List do ojca Tadeusza Rydzyka 198
2013 r. Dokąd zmierzasz, nasz polski Kościele?
Prośba o braterski dialog w Kościele 201
2014 r. Litania nieporozumień 236
2016 r. Do jakiej Polski przyjedzie Papież? 274
2016 r. Do jakiego Kościoła przyjedzie Papież? 291
2017 r. List do Biskupów 306

VI Wartość sumienia

- 2015 r. Blask wolności 333

Posłowie – Tadeusz Pomianek 377

Wprowadzenie

Książka, która trafia do rąk czytelnika, zawiera teksty pisane w ciągu wielu lat mojego życia. Niemal wszystkie te teksty, pomijając wywiady, rodziły się z jakiegoś „imperatywu kategorycznego”, z jakiejś bezwzględnej potrzeby, która stawała przede mną i kazała mi chwycić za pióro. Za teksty pisane w okresie zniewolenia grożono mi niekiedy zemstą, a za teksty pisane w okresie wolności często obrzucano mnie błotem. Nie żałę się jednak, taka jest cena, którą płaci się za wolne słowo. Muszę jednak także wyznać, że docierały do mnie i do dziś docierają nie tylko obelgi, ale także uznanie, niekiedy tak wielkie, że aż zawstydzające, i to od szerokiego kręgu osób, także od osób bardzo liczących się w naszym kraju.

Do zebrania i wydania tych moich wypowiedzi, rozproszonych po wielu różnych miejscach, zachęcało mnie kilku moich przyjaciół, ale decyzję odwlekałem, zresztą nie wiedziałem, jak tego dokonać. Dopiero interwencja profesora Tadeusza Pomianka, ówczesnego rektora Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, sprawę posunęła naprzód. Od 2010 roku przy spotkaniach z różnych okazji przyciskał mnie do muru, abym opublikował swoje teksty. W maju 2013 roku zostałem zaproszony przez profesora Pomianka wraz z Ta-

deuszem Mazowieckim i Aleksandrem Hallem do spędzenia kilku dni w kampusie WSiIZ w Kielnarowej. Pierwszy premier wolnej Polski, Tadeusz Mazowiecki, prezentował tam swoją książkę *Rok 1989 i lata następne*. Odbyło się także otwarte spotkanie, niezwykle udane, ze studentami Uczelni, na którym Premier z młodzieńczą, dawno nieoglądaną werwą i zapałem mówił o Polsce. Wieczorami odbywały się rozmowy, w których usiłowaliśmy wyakcentować szczególne wyzwania dla Polski na dziś. W rozmowach uczestniczyli, obok Tadeusza Mazowieckiego i Aleksandra Halla, rektor Tadeusz Pomianek oraz prorektorzy Jerzy Chłopecki i Wergiliusz Gołąbek. I oto jednego wieczora cała piątka znakomitych rozmówców zaskoczyła mnie zdecydowanym postulatem wydania drukiem moich tekstów. Obiecałem, że to uczynię, ale znów minęły lata. W marcu zeszłego roku zjawili się w Lublinie aktualny rektor WSiIZ Wergiliusz Gołąbek, aktualny prezydent tej Uczelni profesor Tadeusz Pomianek oraz Aleksander Hall i zadeklarowali, że rzeszowska Uczelnia bierze na siebie problemy z wydaniem mojej książki. Po takim oświadczeniu trzeba było zabrać się do pracy i przygotować teksty do druku.

Nie byłoby jednak tej publikacji, gdyby nie praca Małgorzaty Żórawskiej, która wybierała teksty, wprowadzała je do komputera, poprawiała błędy, utrzymywała kontakt z paniami redaktorkami z Rzeszowa i czuwała nad przebiegiem całego procesu powstawania tej książki. Serdecznie jej za to dziękuję.

Pragnę w szczególny sposób podziękować rzeszowskiej Uczelni, a przede wszystkim panu profesorowi Tadeuszowi Pomiankowi. W ciągu mojego nie tak krótkiego życia cieszyłem się znajomością, a może nawet przyjaźnią, z wieloma znakomitymi osobami, które odcisnęły swoiste piętno na duszpasterstwach przeze mnie prowadzonych, a może i na mnie także. Chcę przynajmniej niektórych wymienić: Bog-

dana Cywińskiego, który współkształtował ze mną duszpasterstwo akademickie w Gdańsku; Andrzeja Wielowieyskiego, przyjeżdżającego z prelekcjami na każde zawołanie do Gdańska, Lublina, Wrocławia i Krakowa; Stefana Kisielewskiego, który swoimi wystąpieniami odcisnął piętno na duszpasterstwie w Lublinie i Wrocławiu i który – można to teraz mówić – wywiózł za granicę mój „list do Gierka” czytany kilka razy w Wolnej Europie; Tadeusza Mazowieckiego stale obecnego w duszpasterstwach przeze mnie prowadzonych, zawsze solidaryzującego się ze mną, kiedy zabierałem głos w trudnych sprawach Kościoła; Władysława Bartoszewskiego, który – i w czasach komunizmu, i w czasach wolności – śpieszył z pomocą, kiedy coś mi zagrażało; Arcybiskupa Józefa Życińskiego, z którym rozumieliśmy się bez słów. Oczywiście, tych osób, którym bardzo dużo zawdzięczam, jest więcej. Pomijam znakomitości, które uczestniczyły w moich duszpasterstwach.

I oto „na stare lata” doznaję wielkiego, zupełnie niezasłużonego wsparcia ze strony rzeszowskiej Uczelni, a w szczególności profesora Pomianka. Mogę tylko powiedzieć: dziękuję, bardzo dziękuję.

o. Ludwik M. Wiśniewski

Rozdział I

Nie wyrzec się braci uciskanych

Chrześcijanie wobec walki o sprawiedliwość

...jeśli domagacie się wolności dla was samych, musicie żądać jej dla wszystkich ludzi na całej kuli ziemskiej.

Jeśli domagać się jej będziecie jedynie dla was samych – nie otrzymacie jej nigdy. Udzielajcie jej tam, gdzie jesteście panami, byście mogli otrzymać ją tam, gdzie jesteście niewolnikami.

J. B. LACORDAIRE OP, 1847 R.

Jakie są społeczne konsekwencje zawierzenia Ewangelii?* Czy chrześcijanie z racji swego chrześcijaństwa mają obowiązek angażować się w doczesność? Czy chrześcijanie są odpowiedzialni za wykorzenienie niesprawiedliwości i zła? Czy mają oni obowiązek wkroczyć na arenę, gdzie toczy się walka o ludzkie wartości i ludzkie prawa? Mówiąc krótko – czy chrześcijanie mają obowiązek podjąć walkę o ziemską sprawiedliwość?

Jeżeli tak, to w jaki sposób? Co to znaczy po chrześcijańsku walczyć ze złem i bronić sprawiedliwości?

A może zadania chrześcijan są zgoła inne? Może podejmowanie jakiegokolwiek walki ze złem jest oznaką niewiary w potęgę Wszechmocy Bożej? Jezus przecież mówił: „nie sprzeciwiajcie się złemu... jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi... szukajcie naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a wszystko będzie wam przydane”.

Uwagi poniższe są próbą odpowiedzi na ciągle powracające, zasygnalizowane tu dwa pytania: czy i jak mamy obowiązek walczyć o ziemską sprawiedliwość? Tekst w zasadzie

* Pierwodruk w: „Spotkania” 1978, nr 2, s. 9–17; przedruk w: „Kultura” 1978, nr 6 (369).

był formułowany – dla celów duszpasterskich i bez ambicji oryginalności – niemal DWA lata temu. W międzyczasie wiele się wydarzyło. Świadomość roli Kościoła i roli ludzi wierzących w budowaniu sprawiedliwej doczesności niepomrotnie wzrosła. Ukazały się nowe, ważne dla sprawy dokumenty kościelne. Episkopat Polski wielokrotnie jasno i niedwuznacznie precyzował swoje stanowisko i określał zadania ludzi wierzących. Utwierdziło się wśród polskich katolików przekonanie, że nie można stać na uboczu, kiedy dzieje się jawna krzywda.

A jednak pytania zdają się ciągle aktualne. I chyba będą aktualne zawsze, dopóki tego rodzaju zaangażowanie wymagać będzie samozaparcia i ofiary. Zresztą pytania te są także aktualne z innych powodów. Boimy się – i słusznie – aby czegoś tutaj nie zgubić i czegoś nie wypaczyć: aby nie zastąpić życia chrześcijańskiego jakąś działalnością w imię sprawiedliwości, która powoli przestaje mieć nie tylko związek z Ewangelią, ale nawet i ze sprawiedliwością. Współczesna historia niektórych ruchów tzw. lewicowego chrześcijaństwa potwierdza te obawy.

Oto dlaczego trzeba podjąć próbę rozpatrzenia zarzutów przeciw zaangażowaniu się w obronę ziemskiej sprawiedliwości, oto dlaczego trzeba także podjąć próbę rozpatrzenia chrześcijańskiej specyfiki tego zaangażowania.

OBAWY CHRZEŚCIJAN

- I. Jeden z moich przyjaciół-kapłanów, do którego zwróciłem się kiedyś z propozycją poparcia apelu o naprawienie krzywd wyrządzonych pewnym studentom, napisał mi, że boi się, że tego rodzaju akcja „może podciąć sensowność powołania apostołskiego głoszenia Królestwa Chrystusowego, a więc nie z tego świata”.

W słowach tych zasygnalizowany jest zasadniczy problem teologiczny zaangażowania się w przekształcanie świata, w protest przeciwko niesprawiedliwości i w budowę sprawiedliwości już na tej ziemi.

Problem ten brzmi: jest ciągłość czy nie ma ciągłości między życiem chrześcijanina na tej ziemi a przyszłym zbawieniem; istnieje czy nie istnieje ścisły związek między głoszeniem i oczekiwaniem eschatologicznego Królestwa Bożego a budowaniem sprawiedliwości na tej ziemi?

- a) Zawsze istniało w Kościele swoiste napięcie między poglądami sprzyjającymi angażowaniu się w to, co doczesne, a prądami kierującymi się ku temu, co nadprzyrodzone. To napięcie w ostatnich czasach niepomniernie się wzmoгло.

Jak rozumieć i wyrazić możliwie integralnie posłannictwo chrześcijańskie? Czy istnieje zbieżność (ciągłość) między darem zbawienia – przecież całkowicie przekraczającym jakąkolwiek moc ludzką – a światem tworzonym przez ludzi w czasie?

Charles Müller, a za nim Yves Congar niezwykle trafnie zauważyli, że formułę teologiczną posłannictwa chrześcijańskiego odnaleźć można w formule chrystologicznego dogmatu chalcedońskiego na temat boskiej i ludzkiej natury Chrystusa: jeden i ten sam Chrystus Pan ma być uznany w dwóch naturach – bez separacji, ale i bez mieszania. Jest to rzeczywiście formuła klucz. Posłannictwo chrześcijańskie ma dwa wymiary i nie wolno ich mieszać, ale zarazem nie wolno ich oddzielać.

Nie można mieszać wyzwolenia doczesnego z wyzwoleniem eschatologicznym – z Królestwem Bożym. To, co jako dar obiecane jest przez Boga, jest transcendentne wobec świata, całkowicie go przekracza, „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2,9).

Ale chociaż zbawienie niepomiaralnie przekracza wyzwoleń doczesne, to jednak nie ma tu i nie może być separacji. Gdybyśmy wyczekując na Absolut, zrezygnowali z uciążliwych wysiłków i zmagania, aby realizować sprawiedliwość już tutaj, byłoby to zdradą naszego posłannictwa. „Ktokolwiek na ziemi wyrzeka się człowieka, wyrzeka się pozaziemskiego Boga” (K. Barth).

Znamienne jest sformułowanie, jakie znajdujemy w dokumencie *O Sprawiedliwości [w świecie]* – II Synodu Biskupów: „Akcja na rzecz sprawiedliwości i udział w przekształcaniu świata ukazują się nam w pełni jako cecha zasadnicza głoszenia Ewangelii, to znaczy misji Kościoła dla odkupienia ludzkości i wyzwolenia jej z wszelkiego stanu ucisku”.

A zatem – nie zagubić, nie rozmięknąć na drobne obietnice eschatologicznej, którą dał nam Pan. U Niego będzie pełnia sprawiedliwości i miłości.

Ale zarazem nie wolno wyrzec się braci uciskanych.

- b) Na rozważany problem teologiczny warto popatrzeć jeszcze od innej strony. To prawda, nie można zbawienia zamknąć w kręgu czysto ludzkich wydarzeń. Ale gdybyśmy z kolei w zbawieniu widzieli wydarzenie niemające nic wspólnego z życiem w doczesności – zakwestionowalibyśmy w ten sposób katolicką naukę o usprawiedliwieniu, a także prawdę o obecności Ducha Świętego w chrześcijańskim życiu.

Usprawiedliwienie, jak uczy Kościół, jest wewnętrzną przemianą człowieka i udzieleniem mu w sposób zaczątkowy Ducha Świętego. Jest przyjęciem Ducha Świętego, który rozbudza w człowieku pragnienie nowego życia i prowadzi do definitywnego spotkania z Bogiem. Przez wiarę, nadzieję i miłość realizowaną już tutaj, „teraz” – Duch Święty prowadzi nas ku sobie.

Taka jest droga do zbawienia. Bóg już teraz przemienia nas wewnątrz i daje nam swego Ducha, byśmy eschatolo-

giczne obietnice: miłości, wolności, pokoju, sprawiedliwości, pojednania – urzeczywistniali w tym życiu. Zbawienie będzie udziałem tych, dla których te obietnice, już na tej ziemi, staną się wyznacznikami życia.

2. Ktoś, kogo bardzo cenię, a kto zajmuje dość eksponowane miejsce w polskim Kościele, komu tłumaczyłem konieczność reagowania na zło oraz konieczność brania w obronę pokrzywdzonych, powiedział mi: „dbajmy nade wszystko o życie wewnętrzne, to i tylko to jest istotne”.

Trzeba podpisać się oburącz pod stwierdzeniem, że życie wewnętrzne jest istotne. Bez niego wszystko, cokolwiek czynimy, stanie się wkrótce słomą i plewą.

Na dnię jednak tego stwierdzenia, wyraźnie kwestionującego wszystko prócz swoiście pojętego życia wewnętrznego, dostrzec można kilka zasadniczych nieporozumień.

- a) Dualistyczne pojmowanie człowieka – oddzielanie i przeciwstawianie duchowości człowieka i jego cielesności. Zbawienie, jakie nam Bóg daje, jest zbawieniem całego człowieka. Jedną jest istota ludzka: duchowo-cielesna. Nie ma stosunku człowieka do Boga, który się liczy, oraz stosunku człowieka do świata i ludzi, który się nie liczy. Są one ze sobą zintegrowane, jak i zintegrowany jest człowiek.

Historia chrześcijaństwa zna wprawdzie coś takiego, co trzeba by nazwać konfliktem Marii i Marty – konfliktem czynu i kontemplacji. Jednak jest to chyba konflikt pozorny – im silniejszy i głębszy bywał nurt życia wewnętrznego, tym większa bywała trafność i skuteczność w życiu czynnym.

Oddajmy w tej sprawie głos wybitnemu teologowi: „Unikanie zaangażowania się w postępek człowieka i w jego przyszłość na świecie jest zdradą chrześcijańskiej nadziei. Nastawienie takie wypływa z fałszywego pojęcia człowieka jako ducha

uwięzionego w ciele (a przez ciało w świecie), wypływa z fałszywego pojmowania przyszłego zbawienia jako uwolnienia się od materii, a wcielenia jako czystego przyodziania się Boga w pozory człowieczeństwa; ma wreszcie swe źródło w odrzucaniu antropologii biblijnej i samych fundamentów chrześcijaństwa, tj. rzeczywistości wcielenia się Syna Bożego, Jego śmierci i Jego – a w konsekwencji i naszego – zmartwychwstania. Takie unikanie zaangażowania się w prawdy świata to nic innego jak manichejski dualizm, który świat materialny wyłącza spod władzy Boga-Stwórcy” (J. Alfaro sJ).

b) W nawoływaniu do kultywowania życia wewnętrznego zdecydowanie niepokoi także oddzielanie tego wewnętrznego życia od realizowania miłości. Zbawienie jest ofertą ze strony Boga – uczestnictwa we wspólnocie miłości z Bogiem. Dlatego rdzeniem naszego życia jest miłość Boga. Ale nie wolno z miłości Boga czynić karykatury. Miłość Boża nie tylko nierozzerwalnie związana jest z miłością ludzką, ale wręcz spełnia się w niej.

Święty Tomasz zwraca uwagę, że miłować Boga znaczy utożsamić się z Bogiem Miłości – z Bogiem, który ogarnia swoją uwagę i troską wszystkich ludzi. Kim jest Bóg Miłości, ukazuje nam Chrystus. W Nim poznajemy Boga: „Duch Pana spoczął na mnie, dlatego namaścił mnie, abym niósł dobrą nowinę ubogim, abym uzdrawiał skruszonych w sercu, więźniom zwiastował wolność, a ślepym przejrzenie, abym uciśnionym przywracał wolność i ogłosił rok zmiłowania Pańskiego” (Łk 4,18–19). Jezus w całym swoim życiu solidaryzował się z tymi, którzy cierpią ucisk i gwałt. Cierpiący i przesładowani są kastą szczególnie uprzywilejowaną w Ewangelii.

I tak ma być w chrześcijaństwie. Miłość do Boga ma w chrześcijańskim życiu objawić się jako synowski hołd i szacunek do Ojca – jako uwielbienie Ojca, ale też musi się objawić jako ogarnięcie tych wszystkich, których Bóg swoją

miłością ogarnia. Obdarować miłością innych to najpierw podjąć próbę wyrwania ich z przeróżnych niewoli, bo tylko człowiek wolny jest zdolny do braterstwa i miłości. Jeden z chrześcijańskich proroków naszego wieku – M. L. King ujął to, o czym mówimy, konkretnie i dosadnie: „Religia, która pretenduje do troski o ludzką duszę, a nie troszczy się o slumsy, które są jej piekłem, o warunki ekonomiczne, które ją dławiają, o sytuacje społeczne, które ją paraliżują, taka religia jest w stanie duchowej agonii”.

Przypomnijmy wreszcie głos II Synodu Biskupów z dokumentu *O sprawiedliwości [w świecie]*: „W Starym Testamencie Bóg objawia się nam jako wyzwoliciel uciśnionych i obrońca ubogich. Od ludzi żąda On wiary w siebie i sprawiedliwości wobec bliźnich. Tylko przy spełnianiu obowiązków sprawiedliwości względem ludzi można naprawdę poznać Boga, Wybawcę uciśnionych. W swojej działalności i w swoim orędziu Chrystus w sposób nierozdzielny połączył stosunek człowieka do Boga z jego stosunkiem do innych ludzi”.

- c) Na krzyżach misyjnych stojących do dzisiaj przy naszych kościołach widnieją religijne napisy w rodzaju: „zbaw duszę swoją, ratuj duszę swoją”. Dzisiaj te napisy pobożni, choć może nieco zalęknieni chrześcijanie próbują zastąpić wezwaniem „pielęgnuj życie wewnętrzne”.

Otóż trzeba jasno powiedzieć, że tego rodzaju hasła próbujące sprowadzić sens chrześcijaństwa do intymnej, zamkniętej dla spraw zewnętrznych religijności wypaczyły teologię i wypaczyły praktykę chrześcijańskiego życia. Oczywiście w orędziu Nowego Testamentu osobisty stosunek jednostki do Boga jest istotny, a nawet najbardziej istotny. Ale przecież całego orędzia nie można redukować do remedium danego człowiekowi na jego metafizyczne niepokoje i jego dramatyczną sytuację prywatną, w której musi podjąć osobistą de-

czyję. Jest to orędzie skierowane do ludzkości przynoszące ludzkości nadzieję na wyzwolenie, na zbawienie.

Niestety Orędzie Chrześcijańskie było aż nazbyt często traktowane jako coś w sposób oczywisty prywatnego, jako stosunek tylko i wyłącznie Ty–Ja, stosunek osobowego spotkania.

Życie wiary zredukowano do decyzji zapadających w duszy jednostki, bez żadnego związku ze światem. Społeczny wymiar posłannictwa chrześcijańskiego traktowano jako nieistotny, drugorzędny.

I oto co się stało? Stał się możliwy skandal. Tzw. chrześcijańskie życie wewnętrzne stało się bezbarwne i niewrażliwe (a może aż tak „wzniosłe”), tak nieczułe, że w równym stopniu nadawało się w praktyce dla ludzi tak dalekich od siebie jak wyzyskiwacze i wyzyskiwani, ciemniźcyiele i ciemnięci.

Dlatego Marks i jego uczniowie mogli postawić chrześcijanom zarzut radykalnej alienacji odwołującej człowieka od obowiązku przekształcania świata.

Tymczasem obowiązek przekształcania świata jest dla chrześcijanina nie tylko oczywistym postulatem rozumu, ale też i prawdą wiary. Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, aby – jak to z naciskiem podkreśla Pismo Święte – panował nad światem. W Orędziu chrześcijańskim nie ma ucieczki od świata. Niestety w naszej chrześcijańskiej historii taka ucieczka wielokrotnie się zdarzała.

Popatrzmy, jak w ciągu trzydziestu kilku lat przebiegała walka z chrześcijaństwem. Otóż intensywnie wmawiano w nas, że religia jest sprawą prywatną. Stratedzy walki z religią dobrze wiedzieli, co czynią. Droga do uśmiercenia religii to właśnie zamknięcie jej w sferze prywatnej. Niech sobie istnieje na zasadzie takiego trochę dziwnego „hobby”.

Niedopuszczalnie upraszczamy sprawę, wygłaszając tezę o jedynie ważnej potrzebie chrześcijańskiego życia – życiu

wewnętrznym. Wiarygodność chrześcijaństwa za naszych dni objawia się światu poprzez działanie na rzecz sprawiedliwości. Widzą to biskupi i dają temu wyraz w cytowanym już dokumencie *O Sprawiedliwości [w świecie]*: „Obecna sytuacja świata, oglądana w świetle wiary, zmusza nas, byśmy powrócili do samej istoty chrześcijańskiego orędzia, kształtując w sobie głęboką świadomość jego prawdziwego znaczenia i jego naglających nakazów. Misja głoszenia Ewangelii w naszych czasach wymaga od nas zaangażowania w sprawę pełnego wyzwolenia człowieka już teraz, w jego ziemskiej egzystencji. Jeśli bowiem chrześcijańskie orędzie miłości i sprawiedliwości nie okaże się skuteczne w działaniu na rzecz sprawiedliwości w świecie, trudno będzie ludziom naszego czasu uwierzyć w wiarygodność tego orędzia”.

Sprawa wydaje się jasna. Chrześcijaństwo jest dla ludzkości znakiem nadziei na przyszłość przez to, że już tutaj, na ziemi, wykazuje swą wartość w tworzeniu królestwa miłości i sprawiedliwości. Jeżeli będziemy chronić tylko i wyłącznie ciasno pojęte życie wewnętrzne, niczego nie uchronimy. Takie życie wewnętrzne, które nie widzi biedy i poniżenia innych ludzi, wcześniej czy później stanie się karykaturą.

Dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień trzeba dodać, co następuje: wszystko, co napisano wyżej, nie jest w żadnej mierze krytyką drogi życia, jaką obrali niektórzy chrześcijanie, na przykład członkowie zakonów kontemplacyjnych. Przeciwnie, droga modlitwy, jaką oni wybrali, wydaje się jedną z najpiękniejszych dróg „walki” o miłość i sprawiedliwość w świecie. Oczywiście im także – jak każdemu z nas – grozi niebezpieczeństwo zamknięcia się w sobie, im także zagraża zniczulica. Klasztory kontemplacyjne nie są jednak pustynią, na której przebywa indywidualny, załęczniony człowiek i Bóg i z której nie prowadzą żadne ścieżki do ludzi. Jest inaczej. Tu krzyżuje się wiele dróg, tu jest punkt, w którym

pulsuje wiele ludzkich spraw. Klasztory takie są miejscem, w którym jakby zbierają się niedole ludzkie i z którego płyną bezustanne interwencje. A interwencje kieruje się nie do mniej lub bardziej sprawiedliwych władców tego świata, ale do Tego, który jest Panem Wieków i Panem ludzkiej historii. Ludzie żyjący w klasztorach kontemplacyjnych żyją dla całego Kościoła, dla całego świata, dla wszystkich. A ci spośród nas, którzy mają bezpośredni kontakt z takimi klasztorami, wiedzą, że rzeczywiście osoby w nich żyjące żyją nie tylko dla siebie, ale dla nas wszystkich.

Zacytujmy na koniec jeszcze jeden ważny dokument: „Ci, którzy idą za Chrystusem, nie mogą pozostać nieczuli na los ludzi, którzy są więzieni, torturowani, którzy cierpią głód czy pragnienie. Nasz Pan powiedział nam, że zapomnieć o nich znaczyłoby zapomnieć o Nim” (Komunikat Komisji Papieskiej Iustitita et Pax i Rady Ekumenicznej Kościołów z okazji dwudziestej piątej rocznicy ogłoszenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka).

3. Trzeba rozpatrzyć inne jeszcze sformułowanie, jakie pojawia się w ustach osób, zwłaszcza duchownych, mające uzasadnić ich bierność wobec niesprawiedliwości czynionej przez rządzących. Mówią oni: „przecież Chrystus nie występował przeciw władzy świeckiej”. Na uzasadnienie takiego twierdzenia przytaczają wyznawcy tego stanowiska słowa Chrystusa: „Oddajcie, co jest cesarskie, cesarzowi” (Mt 22,21) oraz naukę świętego Pawła i świętego Piotra o uległości należnej władcom (Kol 3,22; Ef 6,5; 1 Tym 2,2; a także 1 P 2,18).

Można by dyskutować, jak czynią to bibliści, czy w cytowanych słowach Chrystusa należy widzieć zręczne uchylenie się od dylematu postawionego przez przeciwników, czy też uznanie kompetencji cesarza. Wiele wskazuje na to, że rzeczywiście jest w nich uznanie kompetencji władcy świeckiego.

Jednakże praktyczny wniosek wyciągany z tych słów i tak okazuje się nieporozumieniem.

Po prostu Jezus Chrystus nie jest anarchistą, nie sprzeciwia się władzy świeckiej jako takiej. Głosząc Królestwo NIE Z TEGO ŚWIATA, uznaje potrzebę i kompetencje władzy na tym świecie. W tym też chyba sensie należy rozumieć naukę św. Pawła o uległości należnej władcom. Doktryna Konstytucji dogmatycznej o Kościele, o autonomii porządku świeckiego jest echem nauki Chrystusa.

Jednakże Chrystus nie lęka się piętnować niesprawiedliwości, której dopuszczają się przedstawiciele władzy (Mt 20,25; Łk 13,32). Stanowisko Jego było tak jednoznacznie bezpardonowe, że w końcu stanął przed sądem świeckim pod zarzutem podburzania tłumów. Nie stawia się takiego zarzutu komuś, kto zawsze przytakuje władzy.

Rzeczą znamioną jest, że kiedy Rzym stał się totalitarnym imperium uważającym się – jak wszystkie totalitarne imperia – za wcielenie władzy boskiej, wówczas ukochany uczeń Jezusa, święty Jan Apostoł nie ma wątpliwości, że przed taką władzą wierzący nie może pochylić głowy (Ap zwł. 17,1–19,10). Władza ta bowiem stała się szatańską karykaturą. Czy święty Jan sprzeciwia się władzy Neronów i Domicjanów z tej racji, że sprzeciwia się każdej władzy świeckiej? Nie, sprzeciwia się jej, ponieważ jest władzą złą.

Zdaje się, że decyzja na chrześcijaństwo jest bardzo często decyzją na konflikt z władzami politycznymi. Wynika to z tego, że zbawienie głoszone przez Chrystusa nie jest zbawieniem prywatnym.

Trzeba jednak odrzucić mniemanie tych, którzy chcieliby w Ewangelii widzieć wyzwanie do bezustannego sprzeciwiania się porządkowi świeckiemu i świeckiej władzy. Wieczne malkontenctwo i bezustanne, za wszelką cenę „podgryzanie” autorytetu rządzących jest obce chrześcijaństwu. Dobro po-

szczególnych ludzi i dobro całego społeczeństwa wymaga, aby ci, którzy społeczeństwem kierują, cieszyli się szacunkiem. Tylko władza rzeczywiście szanowana może wypełnić swoje zadania.

Na tym polega osobliwy dramat chrześcijan i chyba każdego uczciwego człowieka decydującego się na sprzeciw wobec władzy. Pragnie on, aby rządzących darzono prawdziwym szacunkiem, a zarazem jest świadom, że tam, gdzie jest niesprawiedliwość i krzywda, nie może być milczenia, bo milczenie w takim wypadku jest popieraniem niesprawiedliwości. Jego sprzeciw jest zawsze niechętny, nigdy w obliczu zła triumfalny. Na dnie sprzeciwu jest bowiem głęboka troska o społeczny ład i o dobro narodu, która nie pozwala w obliczu zła triumfować.

Sądzę, że pokazową lekcję sprzeciwiania się niesprawiedliwym zarządzeniom i niesprawiedliwym władzom dawał nam wielokrotnie Prymas Polski Kardynał Wyszyński i Polski Episkopat. Oczywiście głos indywidualnych ludzi nie musi pozostawać na tak szerokiej płaszczyźnie – kościelnej i narodowej – na jakiej zazwyczaj pozostaje głos Episkopatu, ale powinno go cechować to samo poważne zatroskanie.

Jeśli sprawujący władzę będą czynili to, co jest ich istotnym zadaniem, będą mianowicie stać na straży dobra wspólnego, które jest tożsame z osobowym dobrem indywidualnego człowieka – obywatela, wówczas okaże się, że Kościół i ludzie pragnący układać swoje życie według zasad Ewangelii, są ich naturalnym sprzymierzeńcem.

Zawsze jednak Kościół i wierzący będą, zresztą powinni być, sprzymierzeńcem trudnym. Nigdy bowiem nie mogą dać się ugłaskać jakimikolwiek obietnicami i nigdy nie mogą pozwolić zamknąć sobie ust nawet największymi przywilejami. Jeśli choć jeden człowiek jest krzywdzony, muszą wołać o sprawiedliwość. Gdyby czynili inaczej, zdradzają Chrystusa.

4. Inny argument-straszak brzmi: „nie mieszać się do polityki!”. Jest to straszak i swoisty bicz skręcony zwłaszcza na duchownych i na ludzi pragnących poprzez jak najpełniejsze życie we wspólnocie Kościoła służyć światu.

Mamy tu do czynienia z głębokim nieporozumieniem. Jest polityka... i polityka... i jeszcze inna polityka.

Jeśli bowiem za działanie polityczne uważać będziemy najogólniej wszelkie działania wpływające na kształt życia społecznego, to trzeba będzie odróżnić działania polityczne w najszerszym tego słowa znaczeniu – działania chroniące podstawowe ludzkie wartości i odwołujące się do ludzkich sumień – od działań politycznych we właściwym znaczeniu zmierzających do zdobycia i utrzymania władzy poprzez budowę odpowiednich struktur społeczno-politycznych, odwołujących się do prawa stanowionego, wreszcie od działań politycznych w specjalnym sensie – działań służących utrzymaniu władzy przez jakąś grupę, odwołując się przede wszystkim do siły.

Kościół *par excellence* jest polityczny w najszerszym tego słowa znaczeniu. Posłannictwo jego polega na głoszeniu zbawienia – ostatecznego wyzwolenia – wszystkim ludziom i każdej konkretnej osobie ludzkiej, na przekazywaniu wiary, wartości i nadprzyrodzonych mocy, które poprzez zwycięstwo nad grzechem, zniewalając jednostki i społeczeństwa, prowadzą do zbawienia. Taka działalność – dogłębnie i na wskroś religijna – nie jest i nie może być nigdy społecznie obojętna. Więcej, taka działalność niemająca za cel ani budowania struktur politycznych, ani ich obalania poprzez przypominanie podstawowych wartości, które muszą być uwzględnione w życiu społecznym i poprzez stawianie w obronie pokrzywdzonych, jest i musi być śmiertelnym zagrożeniem dla wszelkiej maści struktur ucisku i dla władzy sprawowanej w sposób niesprawiedliwy.

Inaczej sytuacja wygląda z zaangażowaniem politycznym we właściwym tego słowa znaczeniu. Polityka jako wypracowanie i wybór technik zdobywania władzy, utrzymywania jej i rządzenia nie jest płaszczyzną działania Kościoła. Działanie Kościoła ogranicza się do stania na straży i budowania ludzkiego dobra i nie polega to na odwoływaniu się do roli wielkości i do prawa stanowionego, ale jest to apel do sumień ludzkich, by dawać świadectwo miłości i prawdzie. Inne ma także Kościół zadania w stosunku do siebie samego – nie jest nim wypracowywanie technik i metod działania, choćby najlepszych i najskuteczniejszych, lecz nade wszystko bezustanne oczyszczanie swego głosu w konfrontacji z głosem Chrystusa.

Oczywiście bywał Kościół w historii związany z rządzeniem i urzędaniem doczesnym ludzi. Ustrój Kościoła bywał związany z ustrojami politycznymi. Dzisiaj jednak jasno widzimy niewłaściwość takich powiązań. W tym sensie Kościół w ostatnich czasach odpolitycyznał się. Zresztą „odpolitycznianie” Kościoła jest procesem stałym – ciągle w jakimś zakresie miało miejsce, choć może jeszcze nigdy na taką skalę.

Jest jeszcze inny rodzaj działań politycznych. Historia zna takie wypadki – nie czuję się w mocy rozstrzygać, czy i na ile ten wypadek zaistniał w całej rozciągłości w naszym kraju – kiedy to wszystko w danym państwie zostało upolitycznione, i to upolitycznione w specjalnym znaczeniu. Wszystko, mianowicie i szkoła, i nauka, i sztuka, i kultura, i praca, i rozrywka, i wychowanie, i życie rodzinne, a nawet w miarę możliwości religia – zostaje podporządkowane nie dobru osobowemu obywateli i ich rozwojowi, ale utrzymaniu władzy przez jakąś grupę. W takich sytuacjach działalność na wielu odcinkach, działalność realizująca nowe, narzucone cele, z zapoznaniem właściwych celów szkoły, wychowania, kultury, staje się działalnością polityczną, i to polityczną działalnością noszącą na sobie znamiona nieładu moralnego i degeneracji.

Działalność tego typu „nieopakowana” odpowiednio byłaby dla zwykłego śmiertelnika zbyt odpychająca i tylko niewielu odważyłoby się przyłożyć do niej swoją rękę. Zwykły śmiertelnik, uważając bowiem, że polityka jest czymś brudnym i niebezpiecznym, boi się jej jak ognia. Dlatego pracuje się nad „opakowaniem”. Zabieg jest dość prosty: trzeba konsekwentnie upolitycznić język i sposób myślenia, a w miarę możliwości sięgnąć do sumienia, aby śmiertelnik zatracił poczucie dobra i zła i nie umiał już nazywać rzeczy po imieniu. I tak oto okazuje się, że dobre jest to, co służy grupie rządzącej. Oczywiście nie mówi się tak brutalnie, mówi się „RACJA STANU wymaga”, „JEDNOŚĆ PATRIOTYCZNO-MORALNA postuluje” itd.

I tak oto niespodziewanie okazuje się, że działa politycznie nie ten, kto wysprzedaje rządzącej grupie szkołę, kulturę, wychowanie, ale ten, kto pragnie, aby kultura była po prostu kulturą, szkoła szkołą, a wychowanie wychowaniem. Przecieramy ze zdziwienia oczy, bo oto okazuje się, że duchowny, który współpracuje z organizacją rozkładającą duchowieństwo, a nawet do niej należy – nie działa politycznie. Ten natomiast, kto staje w obronie prawa do święta dzieci i robotników, prawa do wychowania religijnego, duszpasterz, który staje w obronie pokrzywdzonego ucznia – ten wchodzi na niewłaściwą drogę działania politycznego, ten bywa okrzyknięty politykiem. Wszystko to jest nieco gorzkie, ale bo też gorzka, jakże gorzka, bywa rzeczywistość.

Dopiero po tych rozróżnieniach można podjąć próbę ustosunkowania się do przestrogi „nie mieszać się do polityki”, nie działać politycznie. Wszystko zależy od treści wkładanej w słowo „polityka”.

Czy chrześcijanin ma unikać działalności politycznej w pierwszym, najszerszym słowa znaczeniu? Ależ byłoby to zaprzeczaniem Dobrej Nowiny, która ma charakter pu-

bliczny. Chrześcijanin ma zawsze być świadkiem Absolutu i świadkiem najwyższych wartości. Powinien on również – jak Chrystus – być przy najbardziej skrzywdzonych, przy bitych i niesprawiedliwie traktowanych.

Czy działać na polu politycznym we właściwym tego słowa znaczeniu? Odpowiedź dla duchownych-duszpasterzy: nie działać. Inne jest zadanie Kościoła i inne jest zadanie ludzi, którzy swoich ust i swoich rąk używają Kościołowi.

Odpowiedź dla chrześcijan świeckich – tak, jeśli ktośkolwiek czuje się do tego powołany. Byłoby rzeczą godną ubolewania, gdyby wierzący w Boga zostawiali innym tak niezwykle ważną dziedzinę ludzkiego życia, dziedzinę polityki.

Trzeba tu jeszcze podpowiedzieć. W grupach politycznych jest także miejsce dla duszpasterza. Może, a nawet powinien on być tam obecny na podobnych zasadach, na jakich Kościół jest obecny w społecznościach politycznych. Kościół nie utożsamia się z instytucjami politycznymi, ale jest wśród nich jako świadek najwyższych wartości, jako instytucja krytyki, jako ten, kto przynosi nadprzyrodzoną moc ludziom.

I wreszcie czy można działać politycznie w ostatnim wyróżnionym sensie? Nigdy. Sytuacja jest jednak niekiedy niezbyt przejrzysta. Dlatego trzeba nam wystrzegać się przed zbyt pochopnym ferowaniem wyroków. Jasno jednak trzeba powiedzieć, że w wypadku jawnej krzywdy, w wypadku oczywistego fałszu polityką nie jest podniesienie głosu w obronie, polityką natomiast – niezależnie od tego, czym to się przykrywa i jak nazywa – jest milczenie.

5. Wszystkie wyżej przedstawione zarzuty są dziecinnym szczebiotem wobec ostatniego, który przyjdzie tu omówić. Praktycznie ten zarzut jak paraliż spada na wielu spośród nas.

Zarzut ten brzmi: „brak roztropności”. Nic tak człowieka nie boli i przed niczym tak nie ucieka, jak przed piętnem nieroztropnego. Kiedy natomiast doda się ostrzeżenie o szkodach rujnujących tych, którym się służy, powie się na przykład: „jest to nieroztropne mieszanie się do polityki, które zadaje wielkie szkody Kościołowi i przekreśla życie wielu młodych” – uginają się pod człowiekiem nogi.

- a) Drżymy o instytucję. Nie chcemy zadać szkód Kościołowi. Ale przecież uświadamiamy sobie, że w imię dobra instytucji przymykano oczy na wiele zła. Była to katastrofa. Zbyt często Kościół jako instytucja szedł przez historię ramię w ramię z silniejszymi. Trzeba to widzieć. Trzeba także dostrzegać zasadność lęku, jaki jest widoczny u wielu szlachetnych ludzi, nieczujących się jednak wewnątrz Kościoła – lęku, że Kościół broni dzisiaj niezbywalnych praw osoby ludzkiej, broni wolności przeciwko tyranii, bo jest słaby. Ale nie bardzo wiadomo, jak zachowa się, kiedy będzie silny.

Trzeba, aby świadomość, że chrześcijanie muszą – takie jest ich powołanie – zawsze opowiadać się za bitym, zawsze w ich sprawie podnosić głos, trzeba, aby ta świadomość w nas wrosła. Krzyk w obronie – a jeśli trzeba, krzyk protestu – czysty krzyk, bezinteresowny krzyk musi zawsze podnosić się z ust tych, dla których drogą życia jest Chrystus.

„Astronomiczna przezorność”, o jakiej mówi M. L. King, gubi człowieka i gubi Kościół. Zresztą sam Kościół bezustannie mówi, że nie jest celem sam w sobie, i bezustannie głosi swoją tymczasowość.

Oczywiście, jeśli roztropność oznacza rozumność – to stokroć tak. I obrona musi być rozumna, i protest ma być rozumny.

Ale roztropność oznaczać może niekiedy także tchórzstwo... i wtedy po stokroć nie.

- b) Drżymy o ludzi młodych. Słusznie drżymy. Ale ustalmy pewne fakty. Jezus nie był politycznym agitorem ani rewolucjonistą. Nie dążył do usunięcia władców, nie rozmyślał nad taktyką, nie rozdzielał stanowisk. Starał się o jeden przewrót, o przewrót w sercach. Apelował do serc i sumień. On, który nie zawierzył liczbie, wciągnął w tę „awanturę” młodych ludzi. Doskonale wiedział, czym to grozi. Wszyscy w końcu zginęli. On sam i jego uczniowie zginęli jako przestępcy polityczni. Bo ludzie nierozumiejący religii nie potrafią na cokolwiek popatrzeć w innych kategoriach niż polityczne.

Któż z nas, duszpasterzy, wielokrotnie nie drżał? Drżeliśmy zwłaszcza o tych najmłodszych, kiedy dowiadywaliśmy się, że nazajutrz po pierwszej bytności w Ośrodku Duszpasterstwa złożyli im jacyś panowie wizytę, najpierw proponując, a później grożąc.

Drżymy, ale nie ma rady. Chrześcijaństwo jest w jakimś sensie decydowaniem się na przegraną. Doskonale wiadomo, kiedy można otrzymać mieszkanie w pierwszej kolejności, doskonale wie się, kiedy można zarobić tysiąc złotych miesięcznie więcej, doskonale wiadomo, w jakich sytuacjach otrzymuje się stanowisko kierownicze.

Nie ma jednak rady. Bezustannie musimy przypominać, że człowiek, który przekreśla swoje sumienie, przekreśla człowieczeństwo.

Gdyby jednak w ostrzeżeniach kierowanych zwłaszcza pod adresem duszpasterzy, zawierała się przestroga przed wciąganiem młodych ludzi na drogę konkretnej już realizacji wielkich wartości – drogę noszącą na sobie znamiona wyboru politycznego, to ostrzeżenie takie trzeba by uważać za słuszne. Nie należy do duszpasterza ani wskazywanie, ani wybór dla swoich podopiecznych takiej drogi. Duszpasterstwo winno być zresztą miejscem spotkania wszystkich szczerze przejętych Ewangelią, choćby szli różnymi drogami.

Inna rzecz, że w momencie, kiedy dzieje się komuś krzywda, to duszpasterz – nawet gdyby w pełni nie popierał wybranych sposobów działania, nawet wtedy, gdyby uważał, że młodych poniosła zbyt młodość – winien stanąć w ich obronie.

Zakończmy pierwszą część tych rozważań słowami Chrystusa: „Coście uczynili najmniejszemu spośród braci, toście mnie uczynili” (Mt 25,40).

PS. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat temu stawialiśmy sobie pytanie, czy chrześcijanin z racji swego chrześcijaństwa ma obowiązek walczyć z niesprawiedliwością i bronić skrzywdzonych. To pytanie jest zawsze aktualne, także dziś. Ale dzisiaj stają przed chrześcijaninem także inne pytania, choćby takie – czy ma on prawo i obowiązek krytykować ludzi Kościoła, którzy nie postępują po chrześcijańsku? Dawniej wielu odpowiadało – nie. I dziś także wielu mówi – nie.

2017 r.

Rozmowa z Teresą Torańską

TORAŃSKA Oni wierszyki jakieś na Ojca wymyślali?
WIŚNIEWSKI Chce je pani zobaczyć? Pokażę*.

„Zbiera forszę w całym mieście/ Co nazbiera to przepije/
I tak sobie fajnie żyje/ A robotnik gdzieś w Radomiu/ Sie-
dzi smętnie w pustym domu...”

Później były gorsze.

Na jednej stronie kartki jest zdjęcie, twarda pornografia.
A na drugiej wierszyk... Ja nie mogę go zacytować, proszę
księdza! Może tylko pierwsze słowa: „Ojciec Ludwik, ch...,
wszędzie swego ch... pcha...”. Nie mogę dalej.

Oni to rozsyłali w kopertach do moich studentów.

**Żeby ich do Ojca zniechęcić? Książd był wtedy duszpaste-
rzem akademickim w Lublinie.**

Ale te wierszyki nie odnosiły żadnego skutku. Studenci wie-
dzieli, kto je wymyśla. Przynosili mi je, żebym wiedział, co

* Pierwodruk w: „Gazeta Wyborcza” („Duży Format”) 22 stycznia
2007, pod tytułem *Kuszenie po esbecku*.

oni robią. Do moich rodziców też wysłali. Do rodziców wysłali dwie koperty, z tym zdjęciem i z długim wierszem. Ale siostra to przechwycała.

Bolało?

Nie pamiętam. Chyba niespecjalnie. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, podchodziło się do tego jak do chleba powszedniego. A dzisiaj traktuję to jak swoistą przygodę.

Pojechali też do mojej wsi. Przebrali się w sutanny za księży i poszli do sołtysa. Że niby z kurii przyjeżdżają, że biskup ich wysłał. Wypytywali o moje dzieciństwo, po czym wyjawili, że kuria i osobiście ksiądz biskup mają ze mną wielkie zmartwienie, bo ja utrzymuję stosunki z mężczyznami i kobietami, i że ściga mnie prokuratura.

Uwierzył?

(*Uśmiech*) Myślę, że nie. To był nieżyjący już mój kolega z klasy. Potem odszukali moją siostrę. Ona pracowała w sklepie. I namawiali ją, żeby mnie leczono.

Napisałem do prokuratury.

I...?

Nic. Prokurator umorzył śledztwo. Nawet mnie nie przesłuchano. Ani mojej siostry, ani sołtysa.

Poszedłem do kurii. Biskup Kamiński napisał wtedy list, który odczytano w mojej rodzinnej parafii, że są czynniki, które chcą mnie zniesławić.

Napisał też ksiądz list do Gierka. I Sekretarz PZPR odpowiedział?

Nie, nie. Ten mój list wiele razy czytała Wolna Europa.

A wysłał tam kto?

Teraz można mówić, Stefan Kisielewski.

Trzy lata temu dowiedziałem się, że chyba mnie truto. Zadzwonili z „Rzeczpospolitej”, że Bogusław Sonik założył sprawę o trucie go. Był na pielgrzymce, na tzw. górcie przepróśnej coś mu podano i wyładował w szpitalu. Jest gdzieś zanotowane, że zrobili to w stosunku do trzech osób, m.in. do mnie. Redaktor z gazety zapytał mnie, czy pamiętam. Nie pamiętałem. Ale rzeczywiście coś było. Któregoś roku le-dwie doszedłem do Jasnej Góry i tam dwa dni spałem. Po pielgrzymce pojechałem z młodzieżą w Tatry. Ojciec Hubert Czuma nas odwiedził, oni chodzili po górach, a ja nie mogłem się podnieść z łóżka. Prawie cały tydzień przespałem. Być może wtedy to było. Ale żyję. Nie otruli mnie, nie zabili. I nie czuję się bohaterem.

Kiedy się oni Ojcem zainteresowali? W seminarium duchownym?

Chyba dopiero w Gdańsku. Pod koniec lat sześćdziesiątych Pracowałem tam z młodzieżą w duszpasterstwie. Nagle zorientowałem się, że nie mam dowodu osobistego.

Zgubił ksiądz?

Nie. Wyjechałem z młodzieżą na obóz do Dębek. Mieszkaliśmy w namiotach. Przyjechała milicja. Szukali niezameldowanych ludzi.

Bo obowiązywał zakaz przebywania bez zameldowania nawet na wakacjach.

Miałem z młodzieżą umowę, iż w razie nalotu milicji ja znikam, a oni tłumaczą, że są sami.

Bo nie wolno było jeździć księżom z młodzieżą na obozy, wycieczki, rajdy.

Ktoś z młodzieży zauważył, że jakiś milicjant szperał w moim namiocie.

Ukradł ten dowód?

Nie wiem. Złożyłem papiery po nowy. I otrzymuję telefon z milicji: dowód księdza jest u nas. Gdzie mam go odebrać? – pytam. Podał mi adres jakiegoś mieszkania.

Punkt kontaktowy?

Prawdopodobnie. Zawiadomiłem przeora, że idę, i zostawiłem mu adres.

Poradził, jak rozmawiać?

Nie. Wszedłem, jakiś cywil. Pyta: koniaczek? Nie, dziękuję. Mówi: nie mam tu warunków do zrobienia herbaty.

Pytam: jak do was trafił mój dowód? Odpowiada: ktoś wrzucił do skrzynki pocztowej. I pyta: a jak ksiądz go zgubił? Odpowiedziałem w podobnym stylu: nosiłem w kieszeni z tyłu spodni, widocznie wypadł.

Wtedy padło: biskup chce, żeby ksiądz wyjechał z Gdańska. Ale ksiądz nie musi – podkreślił. Odpowiedziałem krótko: ale chcę. Wziąłem dowód i wyszedłem.

Coś w ogóle od jakiegoś czasu działa się wokół mnie. Rozpytywano o mnie. Zaczęto rozgłaszać, że biskup chce się mnie pozbyć z Gdańska. Co było nieprawdą. Sam chciałem wyjechać. W tych pogłoskach pojawiała się sugestia, że „oni” mogą mnie przed biskupem obronić.

Potem przyszli do mnie do klasztoru z rewizją. Czegoś szukali.

Czego?

Nie wiem. W siedemdziesiątym pierwszym roku młodzi ludzie wyszli ode mnie z duszpasterstwa, to było przed jakimiś

wyborami, i wywieszali plakaciki wypisane ręcznie lub na maszynie, żeby nie głosować.

Przylapali ich i wielkie sądy się nad nimi odbyły. Bardzo dramatyczne. Chciano też dowieść, że to ja byłem inspiratorem tej akcji. Ale ja nic o niej nie wiedziałem.

Przyszło trzech. Chyba nie całkiem formalnie.

Pokazali nakaz rewizji?

Nie. Mówiłem coś o prokuratorze, ale powiedzieli, że jest na miejscu. Który to był, nie wiem. Powiniennem zażądać, że niech usiądzie i nakaz wypisze, ale nie powiedziałem. Zabrali mi jakieś szpargały na komendę, a potem oddali.

Po jakimś czasie jest telefon z komendy MO, że ktoś ważny przyjeżdża z Warszawy i chce mnie odwiedzić. Przyszedł. Przedstawił się, do dziś pamiętam jego nazwisko – bo oni mieli ładne szlacheckie – pan Zdzitowiecki.

Przeora ksiądz zawiadomił?

Nie musiałem, on przyszedł do klasztoru. Powiedział, że ma dla mnie wielkie uznanie, bardzo mnie ceni i że ich kadry są coraz lepsze. „Że owszem, mieliśmy trochę nieuków, ale to się zmienia, jest u nas coraz więcej wykształconych ludzi. I gdyby ksiądz miał jakieś kłopoty, w każdej chwili jesteśmy gotowi do pomocy. Tu oto telefon, gdyby coś się działo, bardzo proszę dzwonić”.

O co chodziło?

Ot, propozycja utrzymywania z nimi kontaktu.

Czy wstęp do zaproponowania współpracy?

Może. Ale wprost nigdy niczego mi nie zaproponowano.

Na razie, w Gdańsku, dali mi spokój. Akcję rozwinęli w Lublinie.

Jesienią 1972 roku, tuż po moim przyjeździe do Lublina, ktoś zadzwonił. Obowiązywała już u nas zasada, że idzie się nie na wezwanie telefoniczne, tylko formalne, na piśmie.

Poszedłem do przeora: aaa, pójdę do nich, okażę się grzeczny. Przedstawił się jako „wyznaniowiec”, zdaje się. Czyli że jest z Urzędu ds. Wyznań, a nie z SB. Oni często posługiwali się Urzędem ds. Wyznań. Najpierw zapisał moje personalia.

Pyta: Co ksiądz robił w sierpniu?

Odpowiadam: W sierpniu miałem urlop.

Pyta: I co ksiądz robił?

Odpowiadam: Odpoczywałem.

Pyta: Czy ksiądz w sierpniu wyjeżdżał do Częstochowy?

Mówię: Nie wyjeżdżałem.

On: To jak się ksiądz tam znalazł?

Ja: Na piechotę poszedłem.

Ugotowało go. I zdenerwował się. O to mi chodziło.

Po co?

(*Uśmiech*) Kiedy byłem młodym księdzem, zastanawiałem się czasem, kiedy mnie wezwą.

Współbraci wzywali?

Nie słyszałem. Ale duszpasterstwo zawsze było bardzo pilnowane.

Rozpytywałem, jak się zachować, kiedy mnie wezwą. W bazylice Mariackiej w Gdańsku proboszczem był ks. Zator-Przytocki, wielki człowiek, który w czasach stalinowskich wiele lat siedział w więzieniu we Wronkach. On mnie pouczył: należy faceta zdenerwować, ponieważ występują w charakterze przyjaciół i mówią, jak cię cenia, szanują. Więc chodzi o to, żeby on pokazał, jaki jest rzeczywiście.

Ten „wyznaniowiec” zaczął na mnie krzyczeć: No i co ksiądz tam mówił przez tuby?!

Na pielgrzymce?

Odpowiadam: Nie wiem, co pana interesuje. Mówiłem o sakramentach, o wierze. Wykrzyknął, bardzo głośno: Lenina ksiądz atakował! Rzeczywiście – odpowiedziałem spokojnie – zacytowałem na pielgrzymce w którymś momencie Lenina, ale go nie atakowałem. On: Nie, nie, Lenina ksiądz atakował!

Skąd wiedział?

Oni stale towarzyszyli nam na pielgrzymkach. Myśmy ich rozpoznawali. Patrzymy rano, jest wśród nas jakaś młoda dziewczyna w świeżutkim ubraniu. Oczywiście, przywieźli ją. Albo rano nagle ktoś zniknął.

Ktoś doniósł?

Ja miałem zasadę, w ogóle nie interesowało mnie, czy w grupie duszpasterskiej są jacyś donosiciele.

Gdy byłem młodym księdzem w Gdańsku, mówiło się: trzeba uważać, są wśród nas donosiciele, taka była atmosfera. I studenci zaczęli podejrzewać jednego, że to może on, bo dziwnie się zachowywał. Ja też myślałem o nim – różnie, jak głupi. A potem okazało się, że ten chłopak był chory, umarł. I dziwnie zachowywał się z powodu swojej choroby. Wtedy powiedziałem sobie: nigdy nikogo nie będę podejrzewał. I jak w Lublinie co chwilę ktoś przychodził i mówił: połowa duszpasterstwa to ubecy, mówiłem: żadnej konspiracji nie robię i nie interesuje mnie, kto gdzie pracuje. Bo jeszcze się pomyłę i co?

Ile osób było w duszpasterstwie akademickim w Lublinie?

Oni oceniali, że ścisłego aktywu jest ze czterdzieści. O tym, że czterdziestu, przeczytałem gdzieś w aktach ubeckich.

A studentów?

W Lublinie? Trzydzieści parę tysięcy.

Myślę, że oddziaływanie na studentów jakieś mieliśmy. Nie tylko na tę małą, czterdziestoosobową grupkę. Na dużych imprezach cały kościół był pełny.

Przez całe życie usiłowałem pracować dwoma kanałami. Pierwszy to spotkania w duszpasterstwie, msze dla najbliższych, wspólne wyjazdy, a drugi – że od czasu do czasu trzeba zrobić ogólnomiejską zadymę. Przyjeżdża niezwykły gość, jest jakaś sprawa, jakaś wielka debata, wielkie spotkanie.

Na przykład ze Stefanem Kisielewskim?

To Stefan w dużej mierze w Lublinie zrobił mi duszpasterstwo. Przyjeżdżał tu kilka razy. Opowiadał o politykach partyjnych, żartował z nich. Choć wtedy śmiać się z nich nie było wolno. Patrzyłem na studentów. On opowiada, obserwuję ich i widzę, że poszedł pierwszy delikatny śmiech, a potem zaczynają się śmiać pełną gębą, ci moi studenci. Myślę: ooo, już dobrze, już dobrze, zachowują się normalnie.

Przychodzenie do duszpasterstwa było rodzajem odwagi?

Bardzo dużej odwagi. Oni tutaj całymi dniami przed kościołem czasem stali.

Dla demonstracji?

Był okres, że obserwowali nas cichaczem, a w którymś momencie już oficjalnie szli. Za mną chodzili w dzień i w nocy. Widocznie tylu mieli funkcjonariuszy, że musieli ich czymś zająć.

Zima, mamy jakieś zajęcia w duszpasterstwie, a przed kościołem stoi facet w czapce. Powoli schodzi się młodzież. I każdy – komiczne – pokazuje, ile ma facet śniegu na czapce. Tyle – pokazuje. Kolejny pokazuje ręką, że więcej, następny – jeszcze więcej (*śmiech*).

Stali, żeby zastraszyć.

Tak, zastraszyć. Tutaj, naprzeciwko kościoła, jak się wchodzi, oni mieli swoje okno i punkt stałej obserwacji, teraz ten dom jest spalony, więc młodzież, która się tutaj zjawiała, musiała mieć świadomość, że gdzieś tam zostanie zanotowana.

Ksiądz się bał?

Nigdy.

A młodzież?

Mało kto dzisiaj wie, że bycie w duszpasterstwie oznaczało zgodę na to, że się będzie obywatelem drugiej kategorii. Że gdy będą np. propozycje praktyk zagranicznych, niesłychanie dla studentów atrakcyjny kąsek, że się tego nie dostanie.

Pierwszą większą akcją zrobili studenci w 1975 roku na pięciolecie wydarzeń grudniowych w Gdańsku. Była msza i w nocy trójka z mojego duszpasterstwa rozlepiła plakaty. Z klejem sobie chodzili po Starym Mieście – śmiałem się z nich później – i radośnie rozwieszali. Zostali zwinieci. Marian Piłka, Magdalena Górka (obecnie Żylicz) i Ania Żórawska (obecnie Samolińska). Wielki szum się zrobił, rodzice przyjeżdżali.

A później co chwilę coś było.

A co było z księdzem?

Dzwonił do mnie jakiś facet i mówił: proszę, by ksiądz przyszedł.

Ja już wtedy postanowiłem nigdzie nie chodzić.

Nie, nie mogę – mówię mu przez telefon – bo wy krzyczycie.

Jak krzyczycie?

Mówię: No tak, krzyczano – a głos słyszę tego samego „wynaniowca”, z którym wcześniej rozmawiałem. – Ja strasznie nie znoszę krzyku.

On: Przecież bardzo delikatnie z księdzem rozmawiałem.

Odpowiadam: Może to było bardzo delikatne dla pana.
Nie dla mnie.

Nie obawiał się ksiądz współpraci?

Nie.

Wszystko im ksiądz mógł powiedzieć?

Wiedziałem, że niektórym się nie podoba, co robię.

Nie mówili: narażasz cały klasztor.

Jakaś próba była. Rektorem KUL-u był, mieszkający tutaj, ojciec Krąpiec. Spotykaliśmy się niemal codziennie. On chodził na jakieś spotkania z władzą, bo musiał. I oni mu tłumaczyli, że ma bałagan na uczelni. Kiedyś powiedział mi, że jest niezadowolony. Podniosłem głos, że to nieprawda, co oni o mnie mówią, proszę się ode mnie odczepić. Ale ze strony prowincjałów nigdy nic złego mnie nie spotkało.

Ja mogę się chlubić naszymi prowincjałami. Żaden mnie nie przeniósł na żądanie władzy.

Były?

Były. Dyrektor Wydziału ds. Wyznań Stefan Zahor wszczął przeciwko mnie postępowanie administracyjne za „szkodliwą działalność wobec PRL”.

Prowincjałem wtedy był ojciec Mroczkowski. Przyjeżdżałem do niego, a on za głowę się chwycił: co wy robicie, znowu odmówili nam blachy na komin. Lamentował strasznie, a na koniec stwierdzał: a może to wy macie rację.

Wy?

Mówił o mnie, Kłoczowskim i Hauke-Ligowskim. Ciągłe były skargi na mnie, ciągle.

Co księdzu zarzucano?

Młodzi ludzie coś tam wymyślali, a inspirację ich akcji przypisywano mnie, co rzeczywiście było nieprawdą. Oni się u mnie gromadzili, ale nigdy nie planowałem z nimi akcji politycznej. O ich akcjach czy listach protestacyjnych dowiadywałem się *post factum*.

Nie chcieli księdza narażać czy nie mieli zaufania?

Mam nadzieję, że nie chcieli narażać. Uważałem, że należy z nimi być, ponieważ oni to robią, ale oni wiedzieli, że to nie jest moja rola i nie należy mi o tym mówić. Nigdy nie kolportowałem żadnych ulotek. A jak od czasu do czasu ktoś do mnie przychodził, mówiłem, że nie należę do opozycji, nie jestem człowiekiem politycznym. Natomiast kiedy już siedzieli i mieli sprawy sądowe, oczywiście, byłem z nimi. Ubierałem się w habit, siadałem naprzeciwko sędziego i patrzyłem w niego jak sroka w kość, mając nadzieję, że go troszkę zawstydzę.

Oni się bardzo ożywili po wypadkach w Radomiu. Zaczęli wtedy o wiele intensywniej pracować.

Założyli księdzu podsłuch.

Dwa razy zakładali mi podsłuch. W moim mieszkaniu i w duszpasterstwie.

Sam ksiądz odkrył?

Dostałem przeciek od przełożonego klasztoru. Chyba tam coś masz – poinformował mnie. Skąd wiedział, nie wiem. Szukałem, szukałem i wreszcie znalazłem. Szklane rurki w ścianie, przy której stały półki z książkami. Ta ściana graniczyła z domem dziecka. Założyli je prawdopodobnie, gdy pojechałem do domu na wieś. Szwagier miał gospodarstwo, pomagałem mu zwozić zboże czy siano, a po polach jeździł łazik. Co to za łazik tak jeździ dzisiaj wkoło – zastanawiali się ludzie ze wsi.

Oni otrzymali po prostu nakaz pilnowania mnie, żebyśmy niespodziewanie nie wrócił do Lublina. I w tym czasie wiercili w moim mieszkaniu. Głupcy. Przecież z pola nie pojedę do Lublina. No, ale cóż, mieli środki, więc mogli sobie pojeździć.

Drugi podsłuch założono w duszpasterstwie. Ojciec Krąpiec rozmawiał z władzami. Usłyszał od nich, że ja coś planuję, wymieniono jakieś nazwisko. Fakty się zgadzały, tylko nazwisko było przekręcone. Czyli musi być podsłuch. Z trzema chłopakami z duszpasterstwa zaczęliśmy szukać. Przy podłodze obok drzwi odstawała listwa. Za nią były rurki.

Widział ksiądz swoją teczkę w IPN-ie?

Nie.

Dlaczego?

Nie wiem. Jakoś nigdy mnie to nie interesowało.

Zaskoczony jest ksiądz ostatnimi doniesieniami o abp. Wielgusie i bp. Jerzym Dąbrowskim?

Nie, niczym nie jestem zaskoczony.

Bo?

Znam materiały z IPN-u dotyczące Konrada Hejmo.

Zna go ksiądz?

Ach, bardzo dobrze, to mój kolega z nowicjatu, byliśmy na jednym roku. Powinno się wreszcie napisać, że określenie „tajny współpracownik” jest pojęciem wieloznacznym. I nie zawsze oznacza, że ktoś zdradzał. „Fakt” napisał o Konradzie „Judasz”, czyli zdrajca. To nieprawda. O. Konrad Hejmo nie był zdrajcą. Zdrajcą jest ten, kto oddaje usługi wrogiej instytucji z powodu niskich pobudek i szkodzi. Swoim bliskim, swojej instytucji. Tajnymi współpracownikami – według esbeków –